

„Domu Łazarza” historia nie całkiem zwyczajna...

Autor: Jurek Konieczny



Część 1. Na początku było Słowo.

„Duch Wszechmocnego, Pana nade mną, gdyż Pan namaścił mnie, abym zwiastował ubogim dobrą nowinę; posłał mnie, abym opatrzył tych, których serca są skruszone, abym ogłosił jeńcom wyzwolenie, a ślepych przejrzenie, abym ogłosił rok łaski Pana i dzień pomsty naszego Boga, abym pocieszył wszystkich zasmuconych, abym dał płaczącym nad Syjonem zawój zamiast popiołu, olejek radości zamiast szaty żałobnej, pieśń pochwalną zamiast ducha zwątpienia. I będę ich zwać dębami sprawiedliwości, szczepem Pana ku Jego wstawieniu. I odbudują starodawne ruiny, podźwigną opustoszałe osiedla przodków, odnowią zburzone miasta, osiedla opustoszałe od wielu pokoleń”. (Izajasz 61,1- 4)

Słowo, które towarzyszyło nam od samego początku służby, to proroctwo Izajasza zapisane w 61 rozdziale jego Księgi. Od tych słów, odczytanych przez Pana Jezusa Chrystusa w synagodze Nazarecie, rozpoczęła się Jego służba i bardzo dobrze się stało, że to właśnie one od początku, były dla nas zachętą, wsparciem i nadzieją. Ten dobry początek zawdzięczamy Misji „Nowa Nadzieja” i wspaniałym twórcom i liderom programu „Izajasz 61” przygotowanego dla przyszłych liderów i pracowników służb wśród uzależnionych i bezdomnych.

Od trzech już lat byłem wolny od alkoholu i odważnie mówiłem o sobie „były alkoholik”. Od dwóch lat moją żoną była Ilonka, wspaniała lekarka, której wcześniejsze życiowe plany i ambicje legły, niemalże dosłownie, w gruzach. Razem poznawaliśmy żywego Boga, razem marzyliśmy o służbie dla Niego, o pomaganiu najbiedniejszym, bezradnym, bezdomnym i więzionym przez nałogi. To właśnie w „Nowej Nadziei” zostaliśmy do tej służby zachęceni, wyposażeni i posłani. My z kolei, zachęciliśmy gromadkę braci i siostr z naszego Zboru i któregoś zimowego wieczoru wyszliśmy wspólnie, wyposażeni w „gedeonitki” i kanapki, na krakowskie ulice.

To, co zobaczyliśmy, przerosło wszelkie nasze wyobrażenia o rozmiarach biedy i bezdomności. Bardzo szybko rozdaliśmy ponad dwieście kanapek i chyba tyle samo Nowych Testamentów. Już następnego dnia, ponownie byliśmy na krakowskim Dworcu PKP, tym razem z kanapkami na śniadanie dla koczujących tam bezdomnych. Tak to „odkryliśmy” ogromne pole misyjne tuż za rogiem, dwieście metrów od naszej kaplicy. I tak rozpoczęła się, trwająca już dwanaście lat, nasza służba wśród bezdomnych. Dzięki Bożemu prowadzeniu ich materialne, ogromne i niewątpliwie ważne, bo związane nie raz z ratowaniem życia potrzeby, nigdy nie przesłoniły nam potrzeby zwiastowania im Ewangelii. Przeszliśmy dobrą szkołę. Uczono nas i przerabialiśmy to przecież na własnym życiu, że chora dusza nie potrzebuje zdrowego ciała. Chora dusza potulnie pogodzi się z bezdomnością, alkoholizmem, homoseksualizmem, każdą chorobą i innymi wszelkiego rodzaju upokorzeniami. Ale gdy dusza ma się dobrze...

Walka i ich dusze miała i ma nadal wymiar nie tylko duchowy. Przy stosunkowo niedużym zborze i ciasnej kaplicy, a jednocześnie coraz liczniejszej gromadzie bezdomnych, pojawiły się zagrożenia zdrowotne i higieniczne. Pojawiły się drobne i grubsze kradzieże i wiele

innych trudnych, i bardzo trudnych problemów lokalowych, organizacyjnych i porządkowych. Padły wówczas propozycje osobnych nabożeństw i propozycje poszukiwania innego miejsca do pracy z bezdomnymi. Miejsca doraźnej, ale i długoterminowej opieki, codziennego karmienia, ubierania, leczenia. Miejsca stałego głoszenia im Dobrej Nowiny. Przy naszych zerowych możliwościach finansowych (Ilonka właśnie została wyrzucona z pracy i przeszła na bezrobocie bez prawa do zasiłku) i nielicznej gromadce, przeważnie biednych współpracowników, były to naprawdę marzenia daleko przekraczające tak zwany „zdrowy rozsądek”. Ale od czego mamy modlitwę?

Pamiętam jak dziś, ten sobotni, lutowy wieczór gdy zorganizowaliśmy naszym Zborze „Modlitwę o dom”. Wcześniej, chodząc z kanapkami i inną pomocą na krakowski dworzec PKP zapraszaliśmy naszych bezdomnych przyjaciół do udziału w tej wspólnej modlitwie. Stałem wówczas w drzwiach kaplicy i widziałem, jak ze wszystkich stron nadciągali bezdomni. Pojedynczo, parami, większymi grupkami. Dźwigali cały swój dobytek w dziurawych reklamówkach, opatuleni w stare płaszcze, dziurawe, postrzępione szaliki, brudne, za duże czapki... Dzisiaj już takich widoków prawie nie widzimy, ale wtedy, dwanaście lat temu, była to nieomal codzienność. Wtedy przyszła ich ponad setka a ja wiedziałem, że Bóg czyni coś naprawdę wspaniałego, chociaż nie mogłem sobie nawet wyobrazić, jak piękne i niezwykle to będą dzieła.

Dwójka naszych podopiecznych, którzy mieszkali wraz ze szczurami w kanałach ciepłowniczych uwierzyła, że tylko w Jezusie Chrystusie jest dla nich nadzieja. Zdecydowali się zalegalizować swój, nieformalny od wielu lat związek, a Bóg pozwolił nam wynająć dla nich maleńkie i bardzo prymitywne mieszkanko na poddaszu jednej ze starych, zrujnowanych, krakowskich kamienic. Było to maleńkie mieszkanko ale za to przy ulicy Zamkowej, niemalże w centrum Krakowa, vis a vis królewskiego Wawelu. Tam też, na tych dwudziestu metrach kwadratowych, odbywały się nasze chrześcijańskie spotkania z bezdomnymi. Wspólnie czytaliśmy Biblię i rozważali Boże Słowo, modliliśmy się i pomagali jedni drugim , jak mogliśmy najlepiej.

Wkrótce w tej samej kamienicy zwolniło się kolejne mieszkanie, tym razem już dziewięćdziesięciometrowe, potem kolejne i kolejne. Nie stać nas było na ich wynajem, ale kiedy usłyszałem w sercu Słowo od Pana: „Kupujcie bez pieniędzy” a właściciel zgodził się na wynajem w zamian za remont, wiedzieliśmy, że to Boża łaska otworzyła przed nami te drzwi. Wspólnie pracując, szukając materiałów budowlanych, walcząc o fundusze i nieustannie modląc się, zdołaliśmy stworzyć dla bezdomnych hostel o powierzchni ponad dwieście metrów, przez który w ciągu prawie ośmiu lat przewinęło się ponad czterystu pięćdziesięciu mieszkańców oraz setki, jak nie tysiące, bezdomnych i ubogich osób z zewnątrz, przychodzących po wszelkiego rodzaju pomoc. I wszyscy oni usłyszeli Ewangelię Jezusa Chrystusa!

Dzisiaj, z perspektywy lat, wydaje się to wszystko takie proste. Może i takie było, gdyż tak naprawdę nasze własne możliwości skończyły się już na samym początku, a to co warte dziś pochwalenia się, to tylko i wyłącznie Jego dzieło. Wobec świadomości naszej całkowitej bezradności, ciągle, uparcie prosiliśmy braci i siostry o modlitwę, o wszelkiego rodzaju pomoc i nigdy nie zawiedliśmy się na nich, zawsze mogliśmy na nich liczyć. Owszem, z naszej strony były nieprzespane i przepłakane przed Panem noce, były posty, wyrzeczenia, niewygody, niebezpieczeństwa. Byliśmy okradani, straszni, szkalowani i podejrzewani o najgorsze. Ale to sam nasz Pan chronił, zaopatrywał, płacił nasze rachunki, uzdrawiał (nawet z białaczki!), wypędzał demony, rozmnażał cudownie nasze posiłki, scalał rozbite rodziny. To

On dawał nowym rodzinom kolejne dzieci i to On zabierał do Siebie, do Wieczności starych, schorowanych zmęczonych bezdomnym życiem, ale szczęśliwych, bo już należących do Niego, naszych podopiecznych. I to On dał nam cudowne możliwości, by głosić im wszystkim Jego Słowo.

Były to też lata pełne fascynujących przygód z Panem, lata radości, pięknych, dalekich podróży i lata kolejnych, wielkich Bożych zwycięstw. Lata, których nigdy, przenigdy nie zamieniłbym nawet na tysiąc lat z kim innym i gdzieindziej. Ale o tym, jeżeli Bóg pozwoli, w kolejnych odcinkach tego świadectwa.

Wasz w Chrystusie Jurek Konieczny